ROK TRZECI.

№ 23.

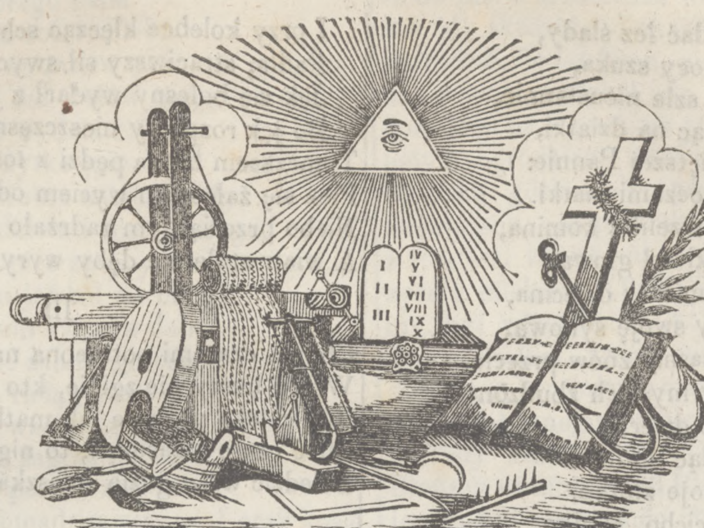
Warszawa

Dnia 25 maja (6 czerwca)

1858.

Niedziela

między oktawą Bożego Ciała.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Spraw Panie, iżbyśmy świętego imienia Twego bojaźń równie jak i miłość w sobie zawsze mieli; albowiem rządy Twej opatrzności nigdy bez pomocy tych nie zostawiają, którzy stale dar miłowania Ciebie przechowują. (Kollekta na Niedzielę między oktawą Bożego Ciała).

Choć Bóg zasmuci, to i pocieszy.

(Zdarzenie prawdziwe).

I.

Stoi za wioską chata drewniana,
Jedna, samotna, tak jak sierota;
Zwą ją chałupą biednego Jana,
Albo inaczéj, Jana Chrobota...
Jan pierwéj cieśla, był pracy wzorem,
Miał ładny sadek, kawałek roli,
Orał swój zagon, ciosał toporem,
Nie brakło w domu chleba i soli;
A co ma chata, tem gościa, brata
Albo biednego chętnie ugości.
I tak dzień za dniem, mijały lata,
Aż Jan doczekał późnéj starości.
Ale powoli jakoś, powoli
W Jankowem szczęściu zaszła odmiana;
Grad wybił zboże na jego roli,
Starszy syn umarł w służbie u pana,
Młodszy się zdźwigał, nosząc ciężary,
I poszedł śladem brata i matki
Na wiejski cmentarz, a Janek stary
Z synami, stracił razem dostatki.
Została przy nim jeszcze synowa,
Lecz sama chleba kawałka łaknie;
Gdyż karmiąc dziecko, nieboga wdowa,
Drży, czy pokarmu dziecku nie braknie...
Bo prócz malutkiéj, ślicznéj dzieciny,
Prócz niemowlątka, jest drugie dziecię,
I jemu wcześnie drobne ręczyny,
Po chleb wyciągać, tułać się w świecie!...
Boć i na świecie różni ludziska,
Jeden pocieszy kiedyś sierota,
I łzy ci otrze i dłoń uściska,
Inny wśród nocy wypchnie za wrota;
A więc codziennie jeszcze odwleka,
Jeszcze nie rzuca progu téj chatki,
Modli się z Janem, płacze i czeka
Pomocy z nieba Najświętszéj Matki.

II.

Na niebie czarno i wiatr się zrywa;
Janek z synową biedni ludziska,
Głodni od rana—kawał łuczywa
Pali się w chacie i blask swój ciska,
Jak od gromnicy, posępny, blady,
Na śpiących razem dziadka i wnuka.

Na twarzy wdowy widać łez ślady,
Oczami w niebie pomocy szuka,
Z piersi westchnienia szle nieustannie,
Z taką boleścią patrząc na dziatki,
Jakby mówiła Najświętszéj Pannie:
Marjo! spójrz na nas oczami matki.
W téj chwili węgiel strzelił z komina,
Janek się ocknął, pokiwał głową,
Spojrzał, czy przy nim leży dziecina,
Westchnął, ujrzawszy swoję synową,
I w głodzie, w żalu zasnął znów przecie.
Wdowa jak gdyby w myślach zbudzona,
Zaczęła małe kołysać dziecię,
I tak mu śpiewać, tuląc do łona:

Spij dziecino, moje złotko,
Spij spokojnie, cicho, słodko,
Nie przerwę ci snu;
Zanim do lat przyjdziesz dziecię,
Zanim dobre i złe w świecie
W wianek życia ci się splecie,
Lulu, lulu, lu!

—

Gdy cię mlekiem swem napoję,
Gdy cię krzyżem w świat uzbroję,
Pójdziesz od matuli;
Bo ta nasza płonna rola,
Niezasiane zbożem pola,
Bo tu tobie żadna dola,
Luli, luli, li!

—

Spij dziecino, moje złotko,
Spij spokojnie, cicho, słodko,
Nie przerwę ci snu;
Nim cię chłodem świat owieje,
Zbledną wszystkie twe nadzieje,
Dziś cię matka piersią grzeje,
Lulu, lulu, lu!

—

Wtem kończąc piosnkę, wdowa dziecinie
Zbudzonéj piersi do ust przytyka,
Ale z jéj łona pokarm nie płynie,
Już i dla dziecka brakło jéj mleka;
Darmo swe piersi ściska rękami,
Darmo jéj wzrok się rozpaczą żarzy,
Oczy krwią zaszły, a pot kroplami
Spływa po zimnej jak kamień twarzy,
Brakło pokarmu.
O! Boże, woła,
Starzec zgrzybiały, dzieci i wdowa,
Wzywają Ciebie, ześlij anioła,
Niech nas prawica Twoja zachowa.
I przy kolebce klęcząc schylona,
Padła, straciwszy sił swych ostatki,
Jęk się bolesny wydarł z jéj łona,
Bo jęk rozpaczy nieszczęsnéj matki.
Tymczasem burza pędzi z łoskotem,
Pies się żałosnem wyciem odzywa,
Niebo przeciągłym zadrżało grzmotem,
A wiatr stuletnie dęby wyrywa...

III.

I burza czasami potrzebna na świecie;
Wśród burzy nie zginie, kto silną ma wiarę,
Bóg człeka próbuje jak matka swe dziecię,
Choć czasem zasmuci, to nigdy nad miarę,
Dziedzic wsi, gdzie mieszkał nasz Chrobot ubogi,
Choć widział, że ciągle na niebie się chmurzy,
Wyjechał do miasta, lecz stracił ślad drogi
Wśród grzmotów, ciemności, piorunów i burzy.
Zląkłszy się błyskławic, zbiegały się konie,
I pana z woźnicą unosząc przez rolę,
Zagony, wyboje, dąbrowę i błonie,
W nieznane i puste zaniosły ich pole.
Nocować wśród burzy nie można na dworze,
Więc i pan i sługa spojrzawszy dokoła,
Puścili się w drogę i szepcząc pacierze,
Pragnęli się dostać do karczmy lub sioła.
Służący pamiętny na dawne przysłowie,
Że zawsze skuteczne do Boga wołanie,
Obiecał, że jeśli nie utknie gdzie w rowie,
Pierwszy dziad spotkany dwa złote dostanie.
Pan większy ślub zrobił, bo przysiągł solennie,
Że jeśli przed ranem już będzie w swym dworze,
W kaplicy wysłucha Mszy świętej codziennie
I szczodrze biednego rolnika wspomoże.
Wtem stary pies *Uduś* przed chatą u Jana
Tak zawył żałośnie, gdy wdowa zemdlała,
Jak gdyby czuł nędzę i płakał za pana,
Którego dłoń pierwéj chleb jemu dawała...
Pies wyje, wieś będzie, rzekł dziedzic wesoło,
Jedź pod głos—woźnica nakręcił co żywo,
Przystanął, posłuchał, popatrzył wokoło,
I dojrzał, jak w chacie płonęło łuczywo,
Nierównym swym blaskiem migocąc zdaleka;
Po chwili w kolebce płakała sierota,
A dziedzic usłyszał od swego człowieka,
Że to jest mieszkanie starego Chrobota.

IV.

Znów w życiu Janka zaszła odmiana,
Bo nim rok minął, za łaską nieba,

I przy pomocy dobrego pana
Nie brakło w chacie soli i chleba.
Dziedzic dał zboża na zasiew pola,
Dał trochę grosza, dał wołów parę;
Bujniéj niż zwykle wydała rola
Złotą pszeniczkę i żytko jare.
Starszy wnuk zwolna nabierał siły,
Pracował z dziadkiem i rósł po Bogu,
A młodszy, chłopiec żwawy i miły,
Już jak na koniu jeździł na progu.
W rok jeszcze potem synowa Jana
Dotąd na wszystkie zaloty głucha,
Za wolą teścia, za radą pana
Dostała męża, pierwszego zucha.
Nie dał on sobie zagrać na nosie,
Rąk nie opuścił pośród złéj doli,
Rej wiódł w gromadzie, ster miał przy kosie,
I pierwszy zawsze bywał na roli.
Janek spoczywał, dając nauki:
Co miłe Bogu, czem człowiek grzeszy,
I nieraz mówił, patrząc na wnuki:
Choć Bóg zasmuci, to i pocieszy.

Grosz sierocy.

—

Nie wiem, czy gdzie więcéj widzieć można wioseczek jak na Podlasiu; tu co krok napotykają się one. Zagrody ich stoją rzędem niekiedy po obu stronach drogi prowadzącej przez wieś, niekiedy rzucone bezładnie to po dolinach, to wzgórkach, lub z zielonego gaju wyglądają na obszerne płaszczyzny Podlasia — przed każdym porządniejszym domkiem mały kwiecisty rośnie ogródek, a z małego okienka na drogę wyglądają to woniejąca gerania, to białe jak śnieg firaneczki; poza domkiem zaś idą sobie gospodarskie zabudowania, gdzie się mieści cała chudoba ubogiego szlachetki. Inne znowu opuszczone, z zalepionemi papierem szybami, z pochylonym jednym rogiem domu, walącym się dachem, świadczą o niedbalstwie lub ubóstwie ich właścicieli. Ileż takich siedzib, gdzie szlachcic na zagrodzie równa się wojewodzie, naliczysz około Sokołowa! Wojewodki, Przewózka, Brodacze, Kożuchow-Wielki i Mały i Małe-błonie, sąsiednie to wioseczki tego miasta.

Małe-Błonie, skromna ta wioseczka nieopodal Kożuchowa leżąca, ponad zieloną łączką legła w cieniu drzew liściastych, że ledwo z traktu do *Mord* miasteczka wiodącego dojrzeć można jéj skromne domostwa. We wspomnionej zagrodzie, ile lat temu, nie wiem, ale pono bardzo dawno, mieszkał pan Mateusz Błoński. Stał dom jego na wysokiem wzgórzu z pięknym zielonym ogródkiem, z sadzaweczką zarybioną, ze stajenką gdzie stały opasłe kasztanki, stodółką napełnioną, niepróżnym lamusikiem i oborą z tłustemi krówkami, co zamożną gospodę zasycały mlekiem. Otóż pan Mateusz, jak widzimy, był właścicielem najpiękniejszej cząstki w Błoniu-małem, któréj niejeden dziedzic z zadłużonym krociowym majątkiem pozazdrościłby, pomieniał mnogie włości za spokój i swobodę zagrody szlacheckiej. Od dziada i pradziada Błońscy zamieszkiwali Błonie; ojciec pana Mateusza był poprzednio ubogim szlachetką. Mały ogródek warzywny, kilkanaście zagonów w polu, oto było jego całe bogactwo; ale pracą, poczciwem życiem zarobił sobie na łaskę u Boga i jakimś cudem Niebu tylko wiadomym, synowi swemu zostawił dostatek. Widno, nie było w tym zbiorze zakazanego grosza, rolę, sumienną uprawioną dłonią, nie rosiła łza sieroca lub wdowia, co nigdy nie osycha, zawcześnie podcina kłos bujnego zboża i urodzajne niwy czyni niepłodnemi, oczom nieprawego nabywcy stawiając obraz zniszczenia!...

I syn wstępując w ślady rodzica, pomnożył majątek, bo pamiętał słowa jego w godzinę śmierci wyrzeczone:

— Mateuszu! nie łaknij cudzego, nie ściągnij twéj ręki do zakazanego sierocego mienia, lękaj się uciskać wdowy, bo to to samo, jakbyś ze święconego ołtarza skradł rzecz przeznaczoną na ofiarę Bogu. Niema w zbiorach, które ci zostawiam, krzywdy ludzkiéj, niema tam łzy uciemiężonego sąsiada, ani grosza niecnie wydartego bliźniemu, który o pomstę do nieba woła. Taką drogą i ty staraj się o bogactwa, jeżeli chcesz być szczęśliwym mój synu. I to kończąc, skonał poczciwy rodzic pana Mateusza. O, pamiętał syn słowa ojca w godzinę śmierci wyrzeczone, i całe życie do nich stosował, żył jak on mu zalecił; to też mnożył się majątek i liczono go niebawem, oprócz dobrze urządzonej cząstki, która wydawała rok rocznie piękną i niepoślednią pszeniczkę i miała spory kawałek starego lasu, oraz mały młynek, jeszcze panem czterdziestu tysięcy gotówki.

Bo też to uczciwie zapracowany majątek, to

rośnie jak ciasto na drożdżach, grosz jeden rodzi tysiące, ziarnko jedno zboża rzucone w rolę wydaje obfite plony, więcéj jak wnieść do domu mogą lichwiarskie procenta, wydzierane potrzebnym, jak niecne oszukaństwo w sprzedaży.

— Nauczcie nas panie Mateuszu, mówiła nie raz do niego sąsiednia szlachta, jakim to sposobem zrobił wasz rodzic majątek, bo wiedzieć o tem musicie, kiedyście go tak siła przysporzyli.

— Niewielki to sekret mili bracia moi, odpowiedział pan Mateusz; pracujcie tylko poczciwie na chleb powszedni, bez krzywdy ludzkiéj, a starczy go samemu, i dacie potrzebniejszym od siebie.

Gdy doszedł lat właściwych, młody Błoński nie łakomił się na majątek, i wziął za żonę ubożuchną panienkę, ale poczciwych rodziców, która mu w błogosławione progi tyle szczęścia wniosła, że poczciwe serce pana Mateusza zaledwie je objąć potrafiło.

A gdy mu ludzie, jakto ludzie, mówili, że źle robi, biorąc ubogą, że mógłby się ożenić z bogatą i wielkim panem zostać, odpowiadał:

— Niech o bogate panny dobijają się ci, co nie umieją radzić sobie, tylko na cudze patrzą ręce, i chcą, by pieczone gołąbki leciały do gąbki, a ja mam zdrowe ręce i zdrową głowę na karku, nie potrzebuję, by mi białogłowa pomagała do utrzymania życia; wstydziłbym się ludziom wtedy w oczy spojrzeć, boby mi nieraz rzec mogli: o, niedołęga szuka lekkiego chleba.

I ożenił się pan Mateusz z ubożuchną panienką, i żył jak w raju. Ależ jak to zwykle bywa na świecie z mądrych Boga wyroków, że szczęście trwać długo nie może, utracił on niedługo cnotliwą żonę, która mu zostawiła jedynego syna.

Wkrótce uczynni sąsiedzi nie zważając na straszną pana Mateusza boleść, doradzili mu nowe związki.

— Nie mówcie mi o nich, odpowiadał, niema dla mnie drugiéj na świecie Magdusi, w niebiosach czeka mnie ona, do niéj to, do niéj podążę niebawem, i pan Mateusz na te słowa zalewał się łzami.

Po śmierci żony pędził jednostajne życie, pracował, wspierał uboższych od siebie; sąsiednia też szlachta wierzyła w niego jak w ojca swego, bo nietylko w oczach ich był wielkim bogaczem, ale i zacnym sąsiadem, uczciwym, sumiennym panem. Gdy kłócił się jeden z drugim, worał się niesłusznie w sąsiednie pole, jeden drugiemu wyrządził krzywdę, Błonia mieszkańcy nie znali, co to się włóczyć po sądach, ale szli do pana Mateusza, przełożyli sprawę, i na słowa zamożnego właściciela godzili się ochotnie, ustępowali niesłusznych zaborów i krzywdy swéj nawet. Nie raz też pan Mateusz ubogiemu sąsiadowi wyrządził przysługę, upadłego podźwignął, i ten, co w niecnym nałogu pijaństwa przez słabość duszy szukał zapomnienia trosk dziennych, znalazł u niego przyjazne słowo; umiał on mu wystawić niecność takiego czynu, skutki jakie za sobą wiedzie, i grzesznik ukorzył się, zaniechał pijaństwa i został człowiekiem. Ależ nietylko bracia szlachta znajdowała w progach pana Mateusza i słowo pociechy i wsparcie w potrzebie, ale i okoliczni obywatele doświadczali nieraz uczynności jego. To też poważano go wszędzie, i pod słomianą strzechą w ubożuchnym domeczku i wspaniałym pałacu, i choć nie był w szkołach, bo zaledwie czytać i pisać umiał, choć mówił tylko własnym rodowitym językiem, ale pięknie znaleść się wszędzie potrafił. Wspaniała postać jego, włos szpakowaty na pogodnem rozrzucony czole, nakazywały poszanowanie, a gdy ubrał się i boki obwiódł pasem, zakręcił sumiastego wąsa, na wielkiego wtedy wyglądał pana.

A na Śty Mateusz, co to na 21 września przypada, zwykł wyprawiać sute imieniny. Dawniéj za życia żony to i muzyczka się znalazła, późniéj już gdy Magdusia progi jego rzuciła, ni skoków, ni muzyk nie było na nich; bo gdy ją usłyszał, lub ujrzał dziewczęta wywijające raźnego tańca, łzy mu zalewały oczy.

W dzień ten na jego dziedzińcu i jednokonny wózeczek ubogiego szlachcica i piękny kocz sąsiedniego bogacza stały obok siebie. I w pokojach z jasnemi białemi ścianami, na których tylko świętych widziałeś, obok siwej kapoty siedział ci pan w sajecie; bo pan Mateusz nie pogardzał ubogim bratem dlatego, że mu Bóg dał dostatki — uchowaj Boże, by mu kto w jego domku ubliżyć się poważył. A przyjęcie? ho, ho, nie ustępowało pańskiemu: było i smaczne jadło i stare winko, i od pana do sługi wszyscy uraczeni pamiętali długo dzień Śgo Mateusza.

Tak szanowany dożył pan Mateusz lat pięćdziesięciu; ale że wszystko na świecie ma swój koniec, otóż przyszła kryska na Matyska — zachorował i bez trwogi gotował się połączyć

niebawem ze swoją Magdusią, co nań z tęsknotą w jasnych oczekiwała niebiosach.

Błonie i sąsiednie szlacheckie wioseczki owionął niemy smutek; dzieci to żałowały dobrego ojca i dobroczyńcy swego, składały się na nabożeństwo, które codziennie odprawiał ksiądz proboszcz w małym Kożuchowku, a na które szła gromadnie szlachta okoliczna.

— Oj, źle będzie miły kumie, mówiła pani Kożuchowska do sąsiada przy kieliszku gorzałki.

— Źle, kto nas teraz poratuje dobrą radą, i nieskąpym datkiem w złej życia godzinie, nie wiecie sąsiado? pytał pan Przewózki, rozcierając klejące się oczy.

— Juści że nie syn...ho, ho, fanaberyja to, nie zna ubogiego człowieka, a harde, niemiłe, nieprzystępne, pożal się Boże; tylko myśli, jakby więcéj zebrać grosza, spekuluje, odpowiedziała pani Kożuchowska.

— Poszedłem do niego przedwczoraj, rzekł p. Przewózki, skłoniłem się jak należało i rzekłem: proszę was sąsiedzie, pozwólcie mi parę wołów, co jeno zaorzę sześć zagonów w polu. Alboć to, odpowiedział mi, waszmości woły stoją u mnie na oborze, że tak się o nich śmiało upominacie? i poszedłem z kwitkiem, a stary powiedziałby: bierz kochany sąsiedzie jak swoje.

— Ależ gdzie on się umywał do starego, mówiła pani Kożuchowska...ot stary wziął ubożuchną dziewczynę za żonę i uszczęśliwił, i sam oto był szczęśliwy, a on ci jeździ do téj staréj bogatej wdowy, do Wojewodeń, co to liczą że ma dużo pieniędzy.

—A ha, to ta, co to ma syna Tomka? zawołał pan Przewózki.

— A juści to, odpowie pani Kożuchowska; ale jak się dowiedział ojciec, tak zabronił. Co to, powiedział mu, nie masz majątku, żebyś uszczęśliwił jaką poczciwą dziewczynę, to starą babę dla pieniędzy bierzesz— ależ niechno ojciec ducha odda, ożeni się, ożeni z nią, jak mi Bóg miły.

—

Gdy taka rozmowa toczyła się w karczmie Małego-Błonia, pan Mateusz leżał na łożu śmierci; przed chwilą usprawiedliwił się Bogu z ziemskich spraw swoich i czekał spokojnie śmierci.

— Andrzeju, rzekł do syna, zostawiam ci dostatki, czterdzieści tysięcy gotówki i cząstkę bez długu, a wszystko uczciwie nabyte; zmarniałbyś, gdybyś nikczemnością chciał przysporzyć majątku. Pogrzebu nie sprawiaj mi sutego, to, cobyś miał nań wydać, rozdziel między uboższą szlachtę, dla której bądź zawsze opiekunem i doradcą. Prostą każ mi zrobić trumnę i złóż ciało obok mojéj ukochanej Magdusi i krzyż dębowy postaw na mogile. Tu głos pana Mateusza słabnąć poczynał i nareszcie spokojnie Bogu oddał ducha.

O! cóż to się wtedy działo w sąsiednich szlacheckich wioseczkach!... wszyscy zbiegli się do Błonia, żegnając martwe zwłoki dobroczyńcy swego. Zjechali się sąsiedni obywatele na pogrzeb, by uczcić pamięć zacnego sąsiada. Wśród licznego zgromadzenia zanieśli przyjaciele ciało jego na własnych barkach do kościołka Kożuchowskiego pół mili odległego, gdzie wymownemi słowy jeden z księży opowiedział zgromadzeniu o cnotach zmarłego i nareszcie złożono znikome szczątki obok zwłok żony.

Po pogrzebie zajął się Andrzej przejrzeniem ojcowskich zbiorów, układając w myśli w dwójnasób pomnożenie onych, i zapomniał wkrótce o czcigodnym ojcu, a mogiła choć już oddawna porosła darnią, stała bez krzyża. Patrzali na to z oburzeniem sąsiedzi; wyciosali go i własnemi rękami na grobowcu postawili. W najtkliwszych sercach czas pamięć strat najcięższych łagodzi. Niebawem pan Andrzej ruszył ojcowską gotówkę, by ją rozdać na lichwę. Ożenił się ze starą wdową, zagarnął jéj mienie i zamknął drzwi przed bracią szlachtą.

Pani Andrzejowa była sobie poczciwa kobiecina, niemłoda, schorzała, wróżyła mężowi osierocenie; pan Andrzej żonie nadskakiwał, dogadzał, chcąc ją ująć, by w czasie majątek mu zapisała—ależ nagle umarła i dostała mu się tylko prawem przekazana czwarta część majątku, a resztę syn jéj pięcioletni Tomek odziedziczył; przed ślubem nie chciała żadnego zrobić zapisu.

Upłynął rok od jéj śmierci, ludzie mówili, że pan Andrzej bardzo żałuje żony, że chodzi jak obłąkany lub zamknięty siedzi w domu, że sam do siebie gada, po nocach nie sypia, i raz ni ztąd ni zowąd zabrał z sobą sześcioletniego Tomka i gdzieś w świat pojechał. Nie było go długo, nareszcie powrócił bez Tomka, powiadając, że mu umarł w drodze; nikt o biedną nie zapytał sierotę i pan Andrzej zagarnął Tomków majątek.

Zazdrościli mu ludzie, a on zazdrościł ludziom większych bogactw, jako to: czystego sumienia, spokoju, który postradał, bo biednego Tomka zawiózł do lasu i ślepemu losowi porzucił.

Słyszał po nocach, a raczej każdy świst wichru na dworze wydawał mu się jękiem biednego Tomka, prośbą i błaganiem. W dzień jasny widział obok siebie Tomka, jak się tuli do niego i ojcem nazywa, w nocy w sennych marzeniach jak grozi ojciec, jak matka płaczem zawodzi, że taką na świat wydała potworę. A żona upomina się o syna, którego na zatracenie porzucił. Ale namiestnik Chrystusów odepchnął go od konfensyonału, mówiąc:

— Nie, nie dostaniesz rozgrzeszenia niecny grzeszniku; idź szukaj swojej ofiary, którąś rzucił niemiłosiernie na zmienne wypadki losu, idź o suchym kawałku chleba, krwawiąc nogi twoje od lasu do lasu, od wsi do wsi, od miasta do miasta i szukaj biednej sieroty, którą ci matka w opiekę zwierzyła, nagródź wyrządzoną krzywdę, a wtedy i ja ci odpuszczę i Bóg ci odpuści.

Ależ te słowa straszliwe, na które inny skonałby z boleści, były grochem na ścianę rzuconym.

Andrzéj pojął młodą żonę, piękną i bogatą, i nie wypełnił pokuty.

Ależ Bóg niepokwapny, jak mówi stare przysłowie, ale potrafny, później czy wcześniej ukarze.

Od czasu kiedy Andrzéj został ojcem, zaczęły się jego klęski: z żadnego dziecka nie dochował się pociechy, umierało mu każde, i w godzinę śmierci zapłakało mu żałośliwym głosem, jak płakał Tomek w lesie, wołając ratunku, i tak kilkoro go pożegnało, umarła i żona, i klęska po klęsce niszczyła majątek.

Chodził Andrzéj w pielgrzymkach po świętych miejscach, głodził się postami, spowiadał, ależ wszędzie usłyszał:

— Nie dostaniesz rozgrzeszenia, idź niecny grzeszniku i szukaj ofiary swojéj, którąś rzucił niemiłosiernie na zmienne wypadki losu, idź o suchym kawałku chleba, krwawiąc nogi swoje od lasu do lasu, od wsi do wsi, od miasta do miasta i szukaj biednéj sieroty, którą ci matka umierając w opiekę zwierzyła, nagródź jéj wyrządzoną krzywdę, a wtedy ci Bóg odpuści.

W rozpaczy był Andrzéj, rzucił nareszcie zniszczone gospodarstwo, które wierzyciele zabrali, i zamiast spodziewanych dostatków, dla których sierotę oddał na pastwę losu, wziął kij i torbę, jedyną należność sierocego grosza nabytego niecnie, i poszedł w świat szeroki szukać swéj ofiary. Ależ na darmo całą zszedł Polskę, nikt o sierocie nie słyszał, nikt jéj nie widział.

Długo Andrzéj tułał się z torbą na plecach po świecie, już mu i włos posiwiał i sił ubywało, gdy raz po kilkonasto letniéj żebraninie, przyszedł na missyą do Lublina. Sławny wtedy mówca ksiądz Honorat zadziwiał słuchaczy; lud pobożny cisnął się do konfessyonału, w którym on spowiadał; chciał i Andrzéj przed tym świętobliwym kapłanem wyjawić grzechy swoje, i błagać miłosierdzia; zeszło mu tak dni kilka, bo docisnąć się nie mógł. Słyszał tylko, jak z ambony kruszył grzeszników, a gdy raz mówił o ciemiężycielach sierot, to wszyscy w kościele płakali głośno tak, że aż mówca zamilknąć musiał i czekać, póki lud się nie uspokoi. Wtedy to Andrzeja zemdlałego wyniesiono z kościoła; przyszedłszy po chwili do siebie, rzekł do otaczających:

— Zlitujcie się, mili bracia, chcę się wyspowiadać, uproście tam kapłana, aby mi swéj przysługi nie odmówił, i to zaraz, bo jakoś czuję, że umrę.

Zaraz po kazaniu przybył żądany spowiednik, i kazał go zanieść na korytarz klasztorny dla wysłuchania spowiedzi; ale gdy nie mógł się utrzymać na nogach Andrzéj, polecił go wnieść do swej celi i na własném złożyć łożku.

— Ulituj się, rzekł Andrzej słabym głosem, wysłuchaj mnie, i daj przed śmiercią rozgrzeszenie, żebym skalany straszną winą nie stanął przed Bogiem—oj daj rozgrzeszenie, o które lat tyle na darmo żebrzę po świętych miejscach. Zaczęła się spowiedź, a gdy Andrzej zawołał:

— Oto winy moje ojcze, z któremi odpychano mnie od święconych progów kościelnych, bom nigdzie nie znalazł skrzywdzonéj sieroty; ona mi nie przebaczyła, ty ojcze w godzinę śmierci czyliż mi w jéj imieniu przebaczysz.

— Przebaczam ci, i przebacza ci ta skrzywdzona sierota, bo ten biedny Tomek, któregoś wśród ciemnego lasu niemiłosiernie porzucił, to byłem ja!

— O Boże! zawołał Andrzéj, czyliż ja na tę łaskę zasłużyć mogłem?

— Bóg, który każe ciemiężców niewinności, mówił daléj spowiednik, szczególnie opiekuje się sierotami; On to i mnie zachował od zguby, którą niemiłosiernie zgotowałeś i dlaczego? Oto, byś groszem zakazanym, zdjętym z sierocego ołtarza pomnożył dostatki, zapewnił wygody

nędznego życia, i słynął z wydartych bogactw przed ludźmi, pieniądz krwią niewinną i łzami oblany, przekazał dzieciom swoim w spuściznie. Lecz się nie spełniły twoje niegodne zamiary, wydarte mienie sierocie strawiło twoje własne dostatki; bo grosz sierocy, to rak majątkowy, bo jak ciało ludzkie ta straszna choroba niszczy, w zgniliznę zamienia, zapowietrza miejsca dotknięte nią, odstrasza ludzi, oddając szczątki tylko człowieka na pastwę robakom, tak w majątku rakiem jest źle nabyty pieniądz. Ubrał cię on, jak widzisz w torbę, i kij żebraczy w zgrzybiałą podał rękę, łachmany na wynędzniałem za wiesił ciele, pogardą ludzką otoczył, w sumienie wpoił gada, co bezustannie je nurtował, i od świętych tajemnic ołtarzy odtrącił. A owa wygnana sierota z progów twoich, żyje, używa swobody, którą ludziom tylko czyste daje sumienie—lepsi od ciebie otworzyli jej drzwi i serca swoje, opuszczoną przycisnęli do łona, nauczyli ją miłować Boga, bać się Go, i służyć mu wiernie. Ubogi to kwestarz, któremu zaledwie umiałem powiedzieć imie moje, jadąc po ulewnej nocy przez ów las, zmęczonego, zestraszonego wziął mnie na ubogi swój wózek i do klasztoru zawiózł, a litościwy gwardyan przytulił do ojcowskiego serca. Bogu i jemu winienem, czem dziś jestem, jemu winienem, że dziś dać ci mogę w Imie Boga rozgrzeszenie, przebaczyć, i modlić się za ciebie.

Tu Andrzéj z niepojętą siłą z łóżka rzucił się do nóg kapucyna, przy których wydał ostatnie tchnienie.

Na drugi dzień w porządnéj trumnie na karawanie złożono zwłoki nędzarza, przodkował mu kondukt, a przed trumną szedł spowiednik zmarłego. I złożono w ziemię znikome ciało, gdzie w proch się rozsypać miało. A gdzie te bogactwa, które z ujmą uczciwości i sumienia zmarły za życia starał się zgromadzić, gdzie, pytam was mili czytelnicy?

O mój Boże, godziż się to ubiegać z krzywdą sumienia o dostatki i honory światowe, kiedy w grób idąc, trzeba nam tylko garści ziemi, czterech desek, siła cnót tylko, z któremi stanąwszy przed Bogiem, rzecbyśmy mogli: Czyniliśmy wszystko, żeby dostąpić dziedzictwa żywota wiecznego.

Wychów zwierząt.

III.

(Patrz nr. 22 Czytelni).

---

2. *Myszy.* Lud prosty, gminny, zowie zwykle gruczoły ślinne u zwierząt *myszami*, a że te gruczoły są poza uszami u koni najwydatniejsze i leżą na górnéj części rówkowatości szyi, zatem spostrzegłszy wystające tamże gruczoły, w razie, gdy koń staje się posępny, okazuje niechęć do pokarmu i napoju, boleści żołądka, albo też gdy rzeczone gruczoły z jakichbądź zewnętrznych przyczyn zbrzękły, przystępują bez żadnego namysłu do wykonania zgrozą przejmującéj operacyi, to jest: gniotą je obcęgami, tłuką młotkiem, nakłuwają szydłem lub przerzynają nożem, skutkiem czego powstaje mocne zaognienie i obrzękłość gruczołów, rozciągająca się niekiedy do uszu i oczu, zaś z otworu rozerzniętéj rany cieknie obficie ślina, przeznaczona do trawienia, przez co zwierzę chudnie i siły traci.

Nie dość, że wykonanie samej operacyi jest barbarzyńskie, lecz stać się może bardzo szkodliwem i niebezpiecznem.

Daleko stosowniejszym i skuteczniejszym jest następujący sposób leczenia.

Jeżeli gruczoł poduchowy po jednéj lub obu stronach opuchnięty i gorący, obsmarować często miejsce zbrzękłe obrzednią massą sporządzoną z gliny, wody, octu i soli; jeżeli zbyteczny napływ krwi był powodem obrzękłości, upuścić dwie kwarty krwi z żyły szyjowej; a jeżeli przytem zwierzę ma morzysko czyli boleści żołądka, wtedy użyć środki wskazane wyżéj przy kolce kiszkowej.

3. *Wąsacz.* Reumatyczne sparaliżowanie (niemoc) krzyża, powstające częstokroć z zaziębienia, z cugów, z uderzenia w krzyż i t. p. gdy jest jeszcze w lekkim stopniu, koń zatacza się w tę lub ową stronę, ma chwiejący chód, stoi z rozstawionemi zadniemi nogami bojąc się, aby nie upadł. Takie cierpienie zowią powszechnie *wąsaczem*, które szarlatani usunąć usiłują przez wtłoczenie w krzyż pomiędzy biodra, szydła szewckiego lub cienkiej szwajcy tapicerskiej.

Operacya ta zamiast pomocy sprawia, że koń upada na ziemię i wcale już o swéj mocy podnieść się nie może, gdy tymczasem przez wczesne należyte przedsięwzięcie odpowiednich środ-

ków weterynaryjnych udaje się niekiedy przywrócić zdrowie zwierzęciu.

Kuracya tej choroby mało zawsze robi nadziei, często nawet wszelkie starania są daremne; z tem wszystkiem jednak lepiej zawsze w razie takiego wypadku szukać pomocy u istotnych znawców, lub przynajmniej w dobrych książkach, niżeli pozwalać męczyć zwierzę niegodziwemi operacyami.

4. *Żaby*. Sąto ciałka okrągławe, wiele krwi w sobie mieszczące i znajdujące się tylko u samic wszystkich zwierząt przeżuwających, tak swojskich jak dzikich, i wtedy tylko, gdy są w stanie zmiennym.

Ludzie nieznający przeznaczenia owych ciałek, szczególniéj zaś kobiety wiejskie starają się rzeczone żaby jak najprędzéj wyrywać, skutkiem czego powstają nieraz śmiertelne zapalenia, krwotok i inne niebezpieczne choroby; kiedy wszakże wzmiankowane ciałka mające bardzo ważne przeznaczenie, po odbyciu zmiennego stanu krów, same przez się bez żadnéj ludzkiéj pomocy znikają (1).

Otóż tedy staraliśmy się wykazać skutki wynikające z niewłaściwego postępowania ludzi nie fachowych, przez co zwierzęta nasze tyle nam pożytku i ulgi w pracy gospodarczéj czyniące i nasz majątek przymnażające, wystawione zostają niejednokrotnie na okaleczenie i zniszczenie. Niechże to będzie nauką dla każdego posiadacza inwentarza, aby nigdy nie pozwalał przystępu pokątnym doradcom i szarlatanom, których wyzdrowienie chorego zwierzęcia wcale nie obchodzi, byleby tylko otrzymali za swą fatygę mało wiele wynagrodzenia i dobrą porcyę wódki na drogę.

Lepiéj zawsze i korzystniéj dla swéj kieszeni uczyni ten, kto zaraz użyje środków właściwych wedle powyższego przepisu, a gdzie można, zawezwie należycie usposobionego weterynarza.

(1) Obszerniejsze opisanie wzmiankowanych ciał, noszących właściwą nazwę *Kotyledony*, z wyjaśnieniem miejsca ich siedliska i przeznaczenia, znajdzie czytający w dziele p. t. *Poradnik weterynaryi gospodarczéj* w r. bieżącym wydanem.

Wspomnienie.

Dzień 15 Sierpnia od lat wielu każdego roku był przeznaczony w Nowéj Aleksandryi (Puławach), rozdawaniu nagród włościanom którzy się odznaczyli albo uczynkami chwalebnemi chrześciańskiemi, albo wzorowem prowadzeniem i troskliwem gospodarstwem.

W dniu tym uroczystym po skończonem nabożeństwie lud wiejski licznie zgromadzony pod chorągwiami, któremu proboszcz miejscowy w złotolitej kapie przewodniczył, w processyonalnym pochodzie szedł do *kępy*, gdzie wśród zielonej murawy wznosił się krzyż marmurowy z wizerunkiem Chrystusa. Szedł wśród odgłosu dzwonów i pobożnych pieśni. Tu stanąwszy kapłan, odezwał się w te słowa: Nietylko w świątyni Bożej mamy oddawać cześć Najwyższemu, ale na każdem miejscu, bo jest wszędzie obecnym. Przyjmie zatem i tutaj pokorne serca, chociaż niema ofiarnego ołtarza, tylko znak Zbawiciela. Chwalebne obyczaje i cnota ukryta, bywają nagrodzone. Przystąp *Wojciechu Gębak*, któryś litość okazał nad biedną sierotą, dając jéj ojcowski przytułek; chodźcie *Walenty Mazur*, Wincenty *Furtak*, wy daliście przykład wzorowego gospodarstwa, trzeźwości, pracy i moralności; te chwalebne obyczaje i cnoty dają wam prawo do nagrody po złotych polskich sto. Wy zaś przytomni gospodarze, nie zazdroście, ale naśladujcie ich cnoty, bo troskliwa i staranna opieka nad wami, zawsze myśli o waszem uszczęśliwieniu.

Po tym obrzędzie, zebrany lud zasiadał do przygotowanych stołów pod cieniem drzew zastawionych. Przy jednym zasiedli sami starcy i poważni gospodarze, u drugiego ich żony i córki, u trzeciego parobcy i młode chłopaki, którym jeden starzec przewodniczył, ażeby ze skromnością Bożego daru używali.

Po ukończonej uczcie odmawiali pod krzyżem modlitwę, po któréj kapela zabrzmiała poloneza. Starszyzna wiekiem i powagą zawiodła koło, ale niedługo ustąpiła dziarskiej młodzieży, gdy zabrzmiał skoczny mazur i wyrwas, a następnie ochoczy krakowiak.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 16 (28) maja 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.